WIONOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 26 (196)
Rok V
4 VII 1965 r.

TURNIEJ JEDNEGO WIERSZA

Tadeusz Piekło

DRĄŻENIE KORY

(II nagroda w Turnieju)

mrówcze poszukiwanie
pod skórką karpiela
kropla zapachu rozbłyskuje świtem
zęby po dziąsła zatopione w rosie
od sopy w glinie białe błyskawice

gdy kwiat szrapnela kwitnący nad głową
odrywał skrzydła ważkom samolotów
pieczony ziemniak pękał w głodnych dłoniach
i ścierń pryskała w śliskich pyskach krów

mrówcze poszukiwanie
pod powieką wody
rak się korzeni z olchą i pokrzywą
mydło z kamienia strumieni się siwo
listowie cienia krzewi skórę traw

a puchną trupy z mundurów rozdziane
a zaciskają nozdrza okna drzwi
zbutwiałe ciała odbierane ziemi
płoną zgnilizną i pleśnią
u płota

tak siebie szukać
by pędzącym kulom
zmysł lotu odjąć
wstrzymać je
przed skórą
skórką karpiela
liściem
kroplą śliny

Andrzej Zabierowski

STWORZENIE CZŁOWIEKA

(nagroda publiczności)

Na obraz i podobieństwo
urobiono ciało
i dano glinianą czaszkę
a potem oporniki wkręcono
i splątano kable wewnątrz brzucha
by ruch
z drobiny energii wyzwolić
jak w odkurzaczu

potem błysnęła Siła Wyższa
i papier ścierny wzięła w dłonie
by zęby kształcić i paznokcie
a gałkom ocznym trochę blasku
dodać

potem pod czaszkę rozum wkręcono
i zasilany ruchem świata
myślał

a potem zeżarł jabłko
i dziś za karę jest człowiekiem.

Anna German dla piosenki „Zakwitłam różą" zdobyła pierwszą nagrodę. *Fot. J. LIGĘZA*

MARIA CECYLIA GUZIOŁEK

Festiwal, Festiwal...

INAUGURACJA

Czwartek, 17 czerwca

Opuszczając opolski dworzec, z miejsca wiesz, że jesteś w stolicy polskiej piosenki, i to w dniu jej dorocznego święta. Nad ulicami powiewają sznury wielobarwnych, wesołych proporczyków, chorągiewek, flag. Tu i tam emblematy festiwalu: barwne koła wokół herbu Opola. Efektownym zamknięciem dekoracji miasta są wystawy sklepowe. Wszędzie słowiki, wszędzie pięciolinie i klucze wiolinowe... Jakiś dom handlowy urządził nawet ze swej wystawy małą estradę, a modelkę zamienił w piosenkarkę. Nic ze sztampy w tej dekoracji miasta! Wszystko to lekkie, estetyczne, wesołe. Co tu zresztą mówić. Dekoracji osobiście doglądał architekt miejski inż. Zbigniew Winogradzki.

Inauguracyjny koncert „Dobry wieczór piosenko" zapowiedziany jest na godz. 20. Zanim znajdziemy się w amfiteatrze, w sali wystawowej Domu Związków Twórczych zostanie otwarta wystawa „Opolskie Festiwale Piosenki w fotografii". Hej, łza się w oku kręci! Przypominają się co zabawniejsze fragmenty „Opola 1963", „Opola 1964 — festiwalu deszczowej piosenki". Zresztą wszyscy dzisiaj paradują też z parasolami. Pogoda niepewna. Rano lało. Teraz chłód i wiatr. „Noś parasol przy pogodzie" — to powiedzonko, staje się hasłem nawet tych słonecznych opolskich dni festiwalowych.

W godzinach obiadowych otwarcie wystawy pod niepokojącym tytułem: „Czarne Anioły". „Czarnym aniołem" jest Ewa Demarczyk. Jej i jej piosenkom poświęcono niewielką salkę Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki przy placu Zwycięstwa. Świetne fotogramy opolskiego artysty — fotografika Fryderyka Kremskiego. Bohaterki reportażu — laureatki poprzednich festiwali nie ma. Dlaczego?

Po mocnych wrażeniach wystawowych należy nam się filiżanka kawy, chwila odprężenia. Opole jednak walczy o tytuł najgościniejszego miasta w kraju, więc robi wszystko, aby nie nudziło się gościom festiwalowym, których zjechało ok. 600 (tych oficjalnych i zaproszonych!). W kawiarence-klubie MPiK następuje więc uroczystość wręczenia honorowego członkostwa tego klubu najpopularniejszemu uczestnikowi dotychczasowych festiwali. Jest nim Jacek Fedorowicz, niezmordowany i najzabawniejszy konferansjer, a zarazem najlepszy przyjaciel wykonawców. Honorowe członkostwo, zgodnie ze statutem, nadawane jest na rok od festiwalu do festiwalu, z możliwością prolongowania. Prócz pięknego dyplomu i orderu na błękitnej wstędze honorowy obywatel otrzymuje prawo wypijania gratis każdej ilości kawy. Natomiast kosztów związanych z przybyciem na kawę do Klubu MPiK w Opolu zarząd nie pokrywa. Przywileju picia „darmowej" kawy nie można scedować na osoby drugie. Tak mówi statut!

Czas pędzi niemiłosiernie. Łykamy coś w rodzaju obiadu i hajda „na amfiteatr"!

Widownia zajęta. Na bez mała 3 tysiącach metrów ławek wielbiciele piosenek. Wielki, barwny tłum! 8 tys. osób!

Piękną, owalną estradę w tym roku chroni dach. Zrobiła się jakoby mniejsza, a ma przecież ponad 300 m kw. Do urody sopockiego dachu, opolskiemu daleko. Jest ciężki i brzydki. Ogranicza też dotychczasowy rozmach dekoracji, która mimo wszystko jest ładna, funkcjonalna, graficznie czysta. Na białych kwadratach, czarne napisy: Opole, 65, Opole...

Punktualnie o godz. 20 rozbrzmiewa hejnał festiwalowy. Powitalne wystąpienie gospodarza miasta, przewodniczącego Prez. MRN Henryka Tabora, parada solistów i zespołów. Polonezem i „Opolskim toastem" w wykonaniu Andrzeja Żarneckiego rozpoczyna się wielki przegląd polskiego dorobku piosenkarskiego minionego roku. Pamiętamy, że regulamin festiwalu i konkursu zezwala na prezentację piosenek popularyzowanych i powstałych w okresie między jednym a drugim festiwalem.

Solistom towarzyszy big-band „Pagartu" pod dyrekcją Leszka Bogdanowicza. „Czerwono-Czarni" i „Niebiesko-Czarni" występują z własnymi solistami. Akompaniują też „Tajfuny", wiecznie rozbiegani, hałaśliwi chłopcy z gitarami. Koncert trwa do 23, a więc pełne trzy godziny. Nie ma rewelacji. Jednak uwagę zwraca jak zawsze niezawodna Hanna Skarżanka śpiewając „Polską miłość" Gulgowskiego do słów Młynarskiego. Alina Janowska „wspomina" „Romans otwocki". Katarzyna Sobczyk piosenką „Nie wiem czy to warto" Bizonia i Dzikowskiego udowadnia, że w ciągu roku znacznie dojrzała artystycznie, zmieniając swoje emploi. Karin Stanek — bożyszcze bardzo młodych miłośników piosenki bardzo głośno dopominała się, „aby tata kupił jej dżinsy"...

Ogromnie miłym akcentem stał się występ Kwartetu Warszawskiego. W ich wykonaniu piosenki „Ko-

(Ciąg dalszy na str. 3)

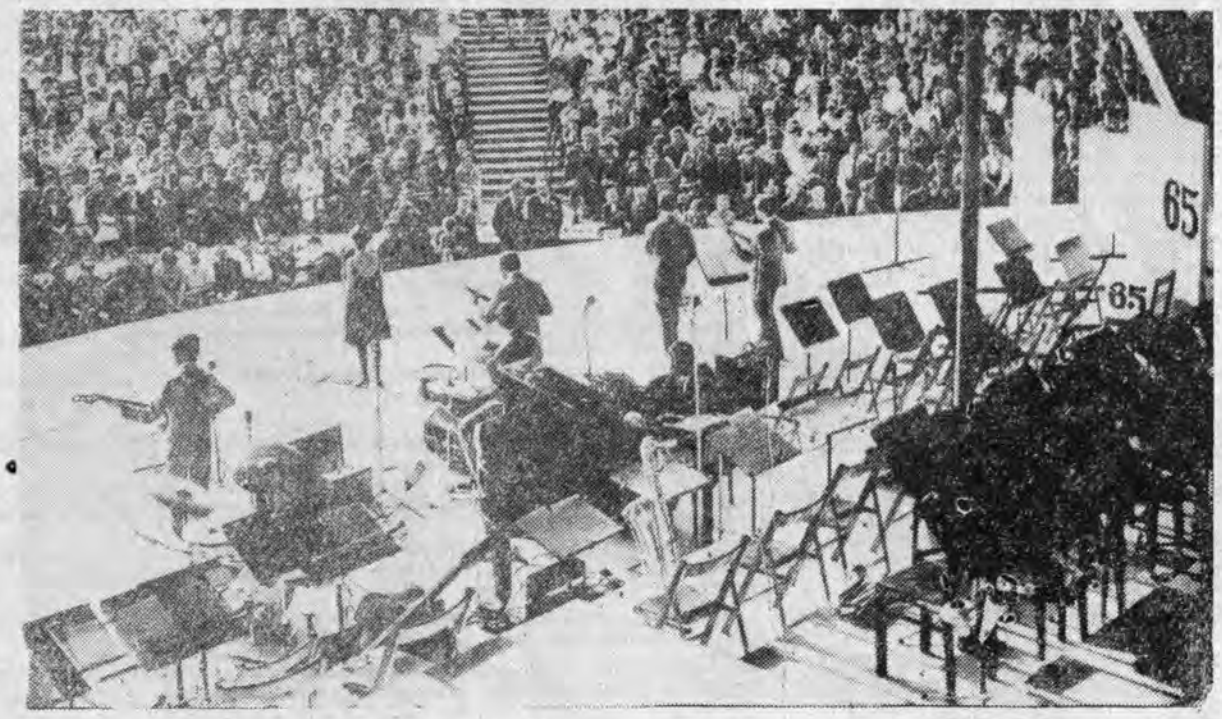

W amfiteatrze *Fot. ST. SYNDOMAN*

Z wędrówek po pastwiskach niebieskich (II)

HORYNIEC

Krystyna Świerczewska

Ranne i zabite drzewa — ta ziemia nie boi się słów, zna je sprzed 20- laty nie tylko w odniesieniu do drzew — połamane mrozem, obdarte z kory, świecą złotą nagością wśród ciemnej zieleni ocalałych: bezbronne wobec deszczu i słot zawalają lasy, czekają na troskliwe ręce, a człowiek, o którego trudno tu, w okolicach Rudy Różanieckiej, z pośpiechem zbiera to zmarnowane żywiołem dobro. Bardzo długi trakt wyznaczają mi te kalekie pnie...

Pięknie tu. Cisza, zapach sosen, — pajęczarek, co rozwieszają miliardy szpilek nad drogą uśpione dniem tłuste chrabąszcze, wzruszające w skromności niepozorne fiołki w przydrożnych rowach i piach — to jedyni moi towarzysze w skwarnym dniu, który nastał po wczorajszych protestach kapryśnego nieba.

Przede mną kilkanaście kilometrów dziur i wybojów, i cel — Horyniec, którego nie mam odwagi nazwać zdrojem.

Przywlokło mnie tu, nie poszukiwanie romansowej egzotyki, ale pragnienie wielkie konfrontacji: co pozostało z dużych planów, jakie zaprzątały gospodarzy województwa przed paroma laty. Znaliśmy je zbyt dokładnie, by nie pamiętać dziś tej wizji europejskiej z nowoczesnymi sanatoriami, willami, pensjonatami — całej utopii przewidujących projektodawców — Wojewódzkiej Rady Narodowej i Centralnej Rady Spółdzielni „Samopomoc Chłopska".

Utopia ma to do siebie, że jest piękna i idealizuje brzydkie światy. Zmienia myśl i serce, zostawiając człowieka w dawnych warunkach. Lubić ją można za romantyzm; przygania jej ideom racjonalista, który w i d z i.

Daleki, osaczony lasami i złą drogą Horyniec do utopii pasował. Biernie godził się na tę perłę uzdrowisk; kto wie, może w wyobraźni mieszkańców wyrządziła spustoszenia natury głębszej idea metamorfozy wioski w modny bad? Tak daleko moje kompetencje nie sięgają jednak, a żałuję, bo w końcu człowiek zawsze światem najciekawszym, by wdzierać się w skryte myśli mieszkańców Horyńca.

Gdzie jest zdrój?

Na tablicy dworcowej, w barwnym prospekcie i łazienkach, które mogą zabiegać balneologiczną terapią wokół 300 osób dziennie. Tyle.

Złożyło się na to osiągnięcie sporo lat, bo o Horyńcu — Zdroju zaczęło się mówić w 1956 roku.

Perspektywy: zasobne borowiny, których starczy na drugie millenium jak mówi dyrektor Michałowski i wody siarkowe, ilościowo drugie w Polsce po Busku, ale pierwsze pod względem fizjologicznym. Plus sanatorium Związków Zawodowych Metalowców (bliskie perspektywy, bo w tym roku będzie oddane do użytku) i sanatorium Wojewódzkiego Zarządu Kółek Rolniczych, które powstanie w przeciągu najbliższych czterech lat.

Rzeczywistość: pawilon zabiegowy bez zaplecza, czynny 5 miesięcy w roku, deficyt w granicach 350 tys. zł rocznie.

Rozwiać legendę łatwo. Nie ma więc legendy Horyńca — Zdroju. Jest senny, spokojny świat lasów, co go otacza i daje niepowtarzalny krajobraz, jest za torem kolejowym wielka, soczysta łąka, na której najlepsza wyobraźnia nie jest w stanie do tej pory nic zobaczyć. Podobno tam miał być zdrój z dobrego, barwnego snu.

Mówi dokument sprzed roku uchwały władz powiatowych w Lubaczowie w sprawie budowy pawilonu mieszkalnego:

„— Uzdrowisko —oryniec — Zdrój posiada pełną dokumentację odwiertów wód mineralnych i wycinka torfowiska, którego powierzchnia wynosi 49 ha, a zasoby masy torfu 985.000 m sześć. Natomiast zużycie roczne torfu leczniczego nie przekracza 1.000 m sześć. Do obecnej jednak pory oprócz szeregu inicjatyw i starań władz powiatowych nie są czynione ż a d n e (podkr. moje) kroki w kierunku maksymalnego i racjonalnego wykorzystania wymienionych bogactw naturalnych ziemi lubaczowskiej... Wydajność... źródeł wody pitnej jest tak duża, że wystarcza na 1000 zabiegów dziennie oraz dodatkowo może obsłużyć pensjonaty.

...Zakład nie dysponuje pensjonatem, który jest niezbędny przy dalszym rozwoju jedynego tego typu uzdrowiska w woj. rzeszowskim. Brak zaplecza mieszkaniowego utrudnia rozszerzenie działalności zakładu, a przede wszystkim zatrudnienia niezbędnych sił fachowych jak: pielęgniarek, laborantki i lekarza specjalisty. Ten fakt wpływa przede wszystkim niekorzystnie na kuracjuszy, którzy zmuszeni są wynajmować na okres leczenia mieszkania u miejscowych obywateli. Wynajęte mieszkania urągają wszelkim przepisom sanitarnym i higienicznym. W toku przeprowadzonej kontroli przez różne komisje stwierdzono, że kuracjusze spali na strychach, w szopach i stodołach. Wynajęcie prywatnego łóżka za dobę kosztowało od 20—25 zł. Stąd wiele osób zmuszonych było przerywać leczenie, a często ich stan choroby pogarszał się..."

i dalej:

„Koszt dzienny zakwaterowania i wyżywienia w GS wynosił 60 złotych. Hotel dysponuje 40 łóżkami, w pokojach wieloosobowych, lecz wymienione pomieszczenia nie odpowiadają warunkom najskromniejszego pensjonatu. Są to pomieszczenia przy garażach, składach i magazynach towarowych, sąsiadują z biurami GS i z gospodą. Pomieszczenia hotelowe znajdują się na piętrze — zatem przy tego typu schorzeniach komentarze są zbyteczne. GS dysponuje małym pomieszczeniem przeznaczonym na jadalnię (32 miejsca, co jest zupełnie niewystarczające dla średniej liczby 300 kuracjuszy dziennie). Przy tych warunkach dietetyczne żywienie jest zupełnie wykluczone.

...Zakład ze względu na istniejące warunki lokalowe nie może zapewnić właściwej rozrywki (na terenie Horyńca brak świetlicy i kina).

Z wymienionych względów zakład może prowadzić działalność tylko przez okres kilku miesięcy. Zatem jego rentowność pozostawia wiele do życzenia i straty za okres jesienno-zimowy w każdym roku wynoszą średnio 350 tys. złotych".

Mówi na ten sam temat prezes WZKR — Leon Korga:

„Stwierdziliśmy ponad wszelką wątpliwość konieczność stworzenia z Horyńca uzdrowiska chłopskiego. Ludzie wsi czują się tam dobrze. Atmosfera i warunki klimatyczne przy całej doskonałości wód leczniczych i borowiny działają cuda dla typowo wiejskich schorzeń, jakimi są gościec stawowy i przypadłości reumatyczne. Mamy systematyczne ograniczenia przydziału miejsc dla chłopów w sanatoriach, z roku na rok coraz bardziej widoczne i bardziej kłopotliwe. Myślę, że właśnie tu wziął początek pomysł zbudowania w Horyńcu własnego sanatorium, do którego w chwili obecnej opracowuje dokumentację „Miastoprojekt", a DBOR będzie jego głównym inwestorem. Jeżeli do obecnie posiadanego pół miliona złotych dołożyć dobrowolnie przeznaczoną na chłopskie sanatorium część funduszu kulturalno-oświatowego, jakim dysponują kółka rolnicze — najbliższe 3 lata pokażą, że jesteśmy w stanie pierwsi zainwestować w Horyniec parę milionów złotych i doczekać się rzeczywistego efektu".

Mówi dr Władysław Wróblewski, horyniecki lekarz:

„Jesteśmy tu w strefie sanitarnej, gdzie przed trzema laty gotowy już plan urbanistyczny sytuował najważniejsze urządzenia sanitarne: pawilony lecznicze i zabiegowe. Wstrzymano wszelkie budowy; chłopom, którzy się buntowali, że nie mogą postawić obory i stajni, chyba trudno było wytłumaczyć, co to jest ta strefa sanitarna, ale w końcu pewnie zrozumieli. Łąkę pod lasem za torami kolejowymi oglądałem wiele razy z rozlicznymi komisjami, — tam miał stanąć modny kurort; tam miała powstać rzeszowska Krynica. Ten nowoczesny zakład, w którym czuwam nad zabiegami, miał być wstępem do dużej całości; w tej chwili stanowi sam całość.

Dlaczego tak się stało? WRN — gospodarz terenu —miał ów teren uzbroić. Centralna Rada Spółdzielni „Samopomoc Chłopska", zebrawszy 20 mln zł z nadwyżek budżetowych, które od początku gromadzono z przeznaczeniem na horyniecki zdrój, postawiła warunek że rozpocznie budowę po uzbrojeniu terenu. Terenu nie uzbrojono, CRS nie rozpoczęła budowy. Horynieckie 20 milionów przeszły pewnie na inne cele — nie wiem na jakie i w końcu dla mnie nie ma to w tej chwili żadnego znaczenia. Sprawa jest bardzo prosta: rozmyśliło się dwoje, trzeci stracił. I w tej chwili ze wszystkim są problemy: jesteśmy przygotowani na większą ilość zabiegów, bo zakład wyposażony jest nowocześnie i dobrze — nie ma tylu kuracjuszy. Natomiast ci fanatycy Horyńca, którzy rokrocznie tu przyjeżdżają, spędzają sen z powiek właśnie mnie — lekarzowi. Każde wydarzenie zdrowotne, to alarm dla mnie. Jestem tu zatrudniony na pół etatu, oprócz zdroju prowadzę spółdzielnię Zdrowia w Horyńcu. Nie jestem balneologiem. Kiedy myślę o tych, którzy przyjechali tu na leczenie, że poza tą godziną spędzoną pod moim okiem, resztę dnia spędzają gdzie im się podoba i jak im się podoba, bez dalszej kontroli lekarskiej (bo i jak kontrolować po gospodzie, szopach i strychach, a w końcu to s ą ludzie chorzy), każdy alarm zdrowotny, powtarzam, jest straszny dla mnie, zwiększa odpowiedzialność do granic wytrzymałości.

W czym widzę nadzieję na zmianę?

Tylko i wyłącznie w Wojewódzkim Zarządzie Kółek Rolniczych, który słusznie pomyślał ten zdrój przeznaczyć dla chłopów i realnie widzi swoje możliwości usytuowania tutaj własnego sanatorium. To będzie pierwszy odważny — może powoli za nim pójdą inni..."

Byłam w Horyńcu w czwartym dniu otwarcia zakładu po sezonie zimowego bezruchu. Miał wtedy 4 kuracjuszy. Na innych czekał. Myślę, że teraz tam bardziej gwarno.

Myślę o wielu rzeczach: że doktor Wróblewski zrobi specjalizację balneologa i zostanie w Horyńcu, bo wrócił do tych stron, żeby pozostać; w pobliskiej Baszni Dolnej spędził dzieciństwo, miał kiedyś rodzinę. Jego sentyment trwa, mimo że dziś jest już sam. Łączył ze zdrojem swoją pracę — milczenie wokół horynieckich problemów zawiesza w próżni jego plany.

Myślę, że nowa szkoła w Horyńcu, rozwiąże problem tymczasowego kina, klubo-kawiarni, mieszkań dla nauczycieli, bo mieści się ona dotychczas w trzech pomieszczeniach, które, zwolnione, zaadaptuje się na nieistniejące dziś obiekty kulturalne.

Myślę i o tym, że zdrojem europejskim, to Horyniec nie będzie już. Ale przy sensownej gospodarce ma wielkie szanse stać się zdrojem rzeszowskim, pięknym miejscem ziemi lubaczowskiej, które przyda jej blasku i znaczenia.

Dobiega już pierwsze 10-lecie wielkich planów. Ten niewesoły jubileusz wolę nazwać pierwszym rokiem ponownej inicjatywy, w skromności której z nadzieją trzeba upatrywać powodzenia. Nawet w ekonomice socjalistycznej zdarza się, że pieniądz robi pieniądz. W konkretnym przypadku Horyńca wie o tym na pewno Państwowy Zarząd Uzdrowisk, który łaskawość swoją okaże dopiero wtedy, kiedy zdrój będzie gotowy i wtedy dopiero przejmie go pod swoje opiekuńcze ramie. Bo Horyniec zagospodarowany będzie dawał dochód; dziś nie wykorzystany, straszy deficytowym saldem.

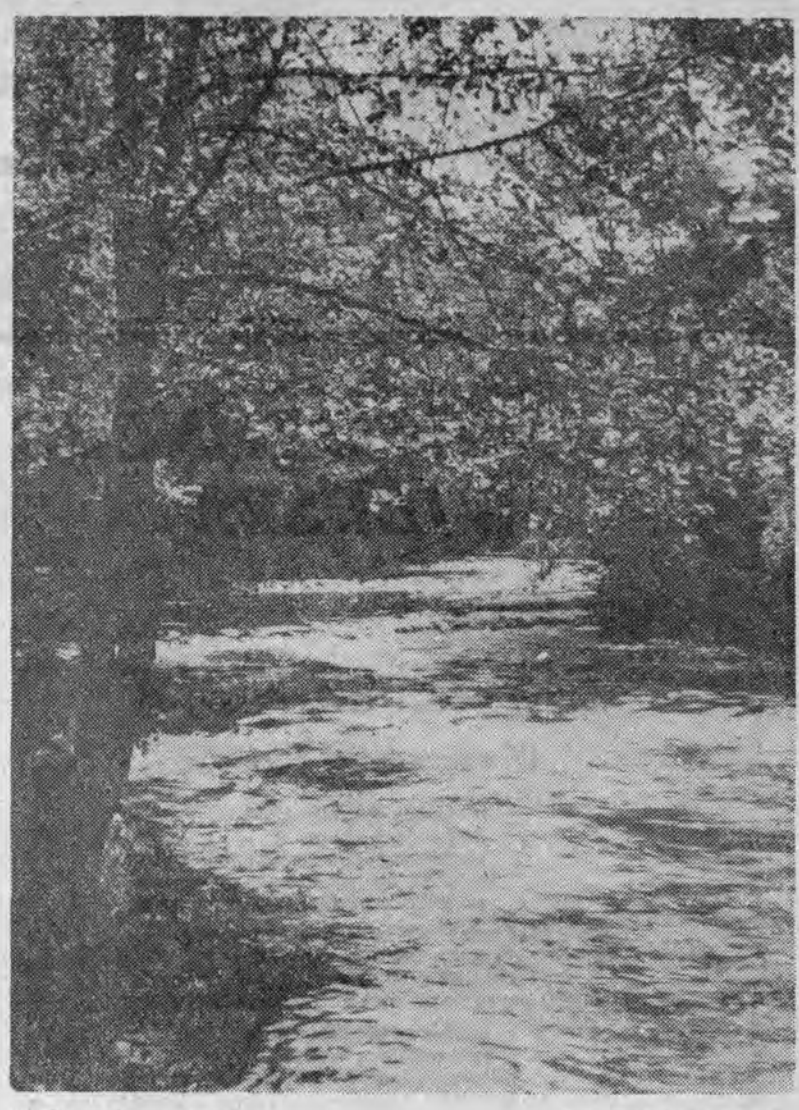

„Szumy" na Tanwi Fot. Z. POSTĘPSKI

Wyjeżdżam z Horyńca inną drogą, krótszą, ale wcale nie lepszą. Pewnie i jej nie oszczędziła zima, która tu, w tych stronach, sroży się zawiejami i śniegiem. Zasypuje Horyniec na tygodnie długie, kiedy lasami przemyka się tylko zwierz, pewnie głodny i pewnie zły. Jedziemy z dr Wróblewskim i dlatego to odcięcie od świata rysuje mi się w wyobraźni apokaliptyczną wizją porodu, który odbierał, gdy ginekolog nie dojechał przez zaspy. W chałupie, w ciżbie przerażonych głosów, poganiany przez roztrzesionego małżonka, robił co do niego zawodowo nie należało, w poczuciu własnej odpowiedzialności, odmawiając później zaproszenia na ucztę, co miała być finałem i podzieką. To był ten jeden raz, że błogosławił surowość przyrody i spokój zimowego świata, kiedy zostawił za sobą dobrze spełniony obowiązek i cały ten nastrój oświetlonej naftówką chałupy, zaduchu i płaczu.

Słońce załamujące się w błyskach szyb, ostatnie fiołki przed domem i senna cisza popołudnia odrealniają przeszłość.

Jest ciągle pięknie. Przed nami kolorowe pastwiska, z tym jednym, najważniejszym, które wchłonęło w wonne koniczyny poezje przyszłego zdroju i... 30 km do Lubaczowa. Bo odjazdu trzeba, by móc kiedyś powrócić; móc odnaleźć na nowo smak pozostawionych spraw i ludzi.

BOGDAN LOEBL

IDIOTKA

OPOWIA

Chłopiec obejrzał się za odjeżdżającym autobusem, po czym nie spiesząc się ruszył śladem współpasażerów. W jednej z uliczek natknął się na tabliczkę biura, w którym miał zgłosić się w południe, i uświadomił sobie, że od dwunastej dzielą go jeszcze trzy godziny. O kilkadziesiąt metrów dalej, na tej samej ulicy ujrzał oparte o mur rowery i pomyślał, że za tym murem mieści się na pewno bar.

Tak było rzeczywiście. Chłopiec otworzył oszklone drzwi, lecz nie wszedł do wnętrza.

Był to lokal, w którym dłużej mógłby posiedzieć tylko nad wódką, zawrócił więc i zaczął iść tą samą drogą, którą tu przed chwilą przyszedł. Po kilku minutach marszu doszedł do wniosku, że chociaż nie podoba mu się to miasteczko, powinien jednak, skoro już nie mając nic innego do roboty musi chodzić po nim, wybierać miejsca, w których jeszcze nie był.

I wówczas właśnie, kiedy zamierzał skręcić z wiodącej na przystanek ulicy, spostrzegł ową dziewczynę. Stała oparta o słup przystanku i patrzyła na drogę, którą miał przyjechać autobus. Chłopca, który wiedział, że najbliższy autobus znajdzie się tu dopiero za dwie godziny, zdziwił widok czekającej na przystanku dziewczyny. Popatrzył w kierunku jej wzroku, ale nie znalazł tam niczego poza pustą szosą i prostokątami ściernisk.

Dziewczyna była wysoka i to jeszcze bardziej uwysmuklało jej sylwetkę. Chłopiec zaklasyfikował ją do typu przeciętnych i pomyślał, że we Wrocławiu nie poświęciłby jej więcej niż trzy sekundy uwagi, ale pomyślał również, że nie jest w tej chwili we Wrocławiu i że ma przed sobą trzy godziny czasu, z którym nie wie co począć. „Gdy spojrzy na mnie, powiem jej — pani ma twarz, jak gotycka madonna, a oczy jak ciepły aksamit".

Był przekonany, że to się jej będzie podobało. Ale stojąca dotąd nieruchomo dziewczyna odwróciła się do niego nagle plecami i zaczęła iść w kierunku miasta. Leżącą pod słupem chusteczkę ujrzał, gdy dziewczyna oddalona była od niego o kilka metrów. Schylił się szybko po nią i podbiegł do dziewczyny.

— Pani zgubiła chusteczkę — powiedział.

— Uśmiechnęła się i powiedziała „dziękuję". Miała równe i białe zęby, a w trakcie uśmiechania się oczy jej nabierały blasku i chłopiec pomyślał: „To może być nawet bardziej interesujące aniżeli przypuszczałem".

— Jestem po raz pierwszy w tym mieście, czy zechciałaby pani być moim przewodnikiem — powiedział. Zerknął przy tym podejrzliwie na dziewczynę, czy się z niego nie śmieje, lecz ta miała twarz poważną i skupioną i to go uspokoiło. Wiedział, że dobrze będzie, jeżeli powie jej teraz jakiś komplement, i powiedział to, o czym przed chwilą naprawdę myślał:

— Pani ma śliczne oczy — a potem dodał — jak ciepły aksamit.

Zaczerwieniła się i uśmiechnęła z zażenowaniem, lecz widać było, że komplement ją ucieszył.

— Kiedy przyjechałem tu przed godziną, bardzo mi się to miasteczko nie podobało — powiedział.

— A teraz?

— Teraz jestem nim zachwycony, ale to tylko dlatego, że pani jest ze mną.

Znowu ujrzał ten przypływ blasku w jej oczach, który następował ilekroć się uśmiechała i pomyślał, że od dwunastej dzieli go jeszcze dwie i pół godzin.

— W tym barze chciałem napić się herbaty — powiedział — pokazując na lokal, z którego progu niedawno był zawrócił — ale odechciało mi się pić, gdy ujrzałem jego wnętrze.

Jakby dla potwierdzenia jego słów drzwi baru otworzyły się i buchnęła z nich fala powietrza przesyconego dymem i alkoholem.

— Czy nie ma w tym miasteczku jakiegoś czystego miejsca, w którym można by dostać szklankę herbaty? Jakiejś kawiarenki, albo cukierni?

— Jest jeszcze jeden bar, ale chyba podobny do tego.

„Co za cholerne miasto" — pomyślał chłopiec, ale nie powiedział tego, gdyż nie wiedział, czy nie jest ono rodzinnym miastem dziewczyny.

Festiwal... Festiwal... Festiwal... Festiwal...

(Ciąg dalszy ze str. 1)

chajmy staruszki" i „Sierżant" tak się podobały publiczności, że czterej panowie z Warszawy zwyciężyli w plebiscycie publiczności „Czerwono-Czarnych". Piękny był też ich gest, darujący otrzymany adapter pobliskiemu Uniwersytetowi Ludowemu.

Uwagę zwróciły również „Alibabki", które robią coraz wyraźniejsze postępy wokalne i są coraz ciekawsze interpretacyjnie. Piosenka „Gdy zmęczeni wracamy z pól" Lorenca i Dymnego w ich wykonaniu uzyskała II nagrodę w kategorii piosenek literackich.

Nurząc „Jeszcze poczekajmy, jeszcze się nie spieszmy" — rzecz jasna z oceną — co zagorzalsi pędzą jednak do Szkoły Ekonomicznej, w której dają nocny występ warszawskie „Hybrydy". W Klubie festiwalowym „Pod pająkiem" całonocny piosenkarski i muzyczny non stop, ale już pozakonkursowy, niepunktowany.

FESTIWALOWA CODZIENNOŚĆ

Piątek, 18 czerwca

O godz. 10 z pięknej ulicy Piastowskiej, która właściwie jest uroczą promenadą, biegnącą wzdłuż kanału odrzańskiego zwanego „Młynówką" — wyruszamy autokarem na Górę Anny, aby złożyć hołd powstańcom śląskim. Góra Anny, położona opodal Leśnicy jest symbolem walki Śląska Opolskiego o przynależność do macierzy, miejscem, na którym Ślązacy krwią zapłacili za umiłowanie wolności, za prawdę o polskości tych ziem.

Przed nami szara tafla bruku, półkoliście otoczona zielenią. W głębi bieli się monumentalna bryła Pomnika Czynu Powstańczego, dzieło Xawerego Dunikowskiego. Wstrząsający to pomnik swą prostotą i siłą ekspresji. Na ścianach bloków fragmenty historii Śląska Opolskiego. W załomach utrwalone dłutem mistrza głowy powstańców, nieustraszonych synów tej ziemi. U ich stóp zakwitają czerwone goździki od polskich dziennikarzy. W uroczystości towarzyszą nam dwaj sędziwi byli powstańcy. Na ich mundurach błyszczą wysokie odznaczenia państwowe.

Za pomnikiem niewielki taras, a dalej przepaść 30 m skalna ściana calizny. Schodzimy krętymi schodkami... do amfiteatru wykutego w skałach, który może pomieścić 100 000 osób. Zbudowali go hitlerowcy na tym odludziu, ale miejscu najbardziej zażartych walk dokumentujących odwieczną ich polskość. Zbudowali na przekór prawdzie i historii.

Dziś jeszcze amfiteatr o idealnej akustyce i rzadkiej urodzie wykorzystywany jest sporadycznie. W niezbyt już długim czasie powstanie wokół niego ośrodek wypoczynku niedzielnego i turystyki. Z chwilą rozwiązania dojazdu (100 tys. osób!) będą tu organizowane imprezy.

W Leśnicy, sennym miasteczku, na którym widać jeszcze ślady dawnej świetności i piętno ostatniej wojny, zwiedzamy Muzeum Czynu Powstańczego i dalej do Strzelców Opolskich, gdzie przedstawiciele Wojewódzkiego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki wprowadzają nas w arkana świetnie rozwijającego się krajoznawstwa na Opolszczyźnie.

Ledwie zdążyliśmy na drugi koncert festiwalowy. Koncert prowadzi Jadwiga Swirtun aktorka i parodystka, której dzielnie sekunduje z nieodłącznym dzwonkiem „szalony Piotruś" — czyli Piotr Skrzynecki. Koncert nosi tytuł: „Kolorowe spotkanie". Jest rzeczywiście „kolorowy". Plejadzie piosenkarek i piosenkarzy towarzyszą te same zespoły instrumentalne, które występowały na koncercie inauguracyjnym. Tadeusz Chyła zwraca uwagę swą kapitalną „Balladą o mumiach", skomponowaną do słów Waligórskiego. Andrzej Bychowski — interesujący piosenkarz i znakomity parodysta „przechodzi sam siebie" naśladując m. in. Annę German, Czesława Niemena, nieobecnego na festiwalu „Opole 65" Michaja Burano. Parodia Karin Stanek doprowadza widownię nieomal do stanu wrzenia. Huragan braw.

W pamięci utrwalają się nazwiska Krystyny Sienkiewicz, Jana Pietrzaka, który śpiewa własną piosenkę do słów Kofty „Pamiętajcie o ogrodach" i Macieja Zębatego z nieodłącznym Januszem Bogackim.

Wieczorem estradę amfiteatru obejmują we władanie zespoły i soliści Estrady Milicji Obywatelskiej i Wojska Polskiego. Towarzyszy orkiestra Śląskiej Estrady Wojskowej pod dyrekcją kpt. Czesława Słupeckiego. W drugiej części wieczoru przedstawiają się debiutanci Estrady „Pagartu". Zapowiada Jadwiga Swirtun, którą z wrodzonym humorem wspomaga poeta i satyryk Józef Prutkowski.

Reflektory co chwila opierają swe światła na Piastowskiej wieży. Błyszczy napis „Dni Opola". Warto przypomnieć, że Krajowy Festiwal Piosenki po raz pierwszy jest tym dla Opola, czym Spotkania Teatralne dla Rzeszowa.

Nie myślcie, że „Wieczorem na zielonej estradzie" kończy się drugi dzień festiwalu.

O północy rozpoczyna się koncert w nowoczesnej szkole muzycznej. Duża sala koncertowa wypełniona po brzegi. Te nocne pół, ćwierć a nawet pełne recitale dają możność solistom przedstawienia swych umiejętności i skali. Bo zaśpiewanie jednej lub dwu piosenek konkursowych, często narzucanych, z którymi śpiewak nie zdążył się „zżyć", albo zbyt późno stwierdza, że utwór jest mu obcy, niezgodny z jego stylem i odczuciem — nie może dawać podstaw do oceny poziomu konkretnego artysty. Z tego bodajże założenia wychodzą organizatorzy obejmując konkursem festiwalowym tylko utwory a nie wykonawstwo.

Intymny nastrój kameralnej sali jest dobrym sprzymierzeńcem piosenki. Piosenkarze śpiewają co chcą, co uważają za najciekawsze ze swego repertuaru.

O drugiej po północy powędrowałam z gościnnej szkoły... „w siną dal", czyli do hotelu.

Podobała mi się Ewa Sadowska i „Konie — jeźdźcy Apokalipsy" z muzyką Koniecznego w wykonaniu Edwarda Luposzenki. Nie zapomnę Marty Stebnickiej (nota bene żona Kerna) z jej frymuśnymi i figlarnymi piosenkami XVIII i XIX wieku i Litwiniuka w „Balladzie o leniwym Prosperze", i...

Nie dajmy się zwariować — to hasło, którego realizacja może tylko uratować od szaleństwa przeładowanego programu tzw. imprez towarzyszących.

Sobota, 19 czerwca

W amfiteatrze, jak co dzień trwają próby. Wieczorem przecież galowy koncert Inter i Telewizji.

Radiowe Studio Piosenki prezentuje swoje nagrania. Na dyskusję nad polską piosenką niewiele pozostaje czasu, przekłada się więc ją na dzień następny.

Szukam parasolki po sklepach, bo od rana leje jak z cebra. W obiad już nieznośny upał. Wiadomo, opolski festiwal bez deszczu nie byłby w pełni festiwalem. Zbytnio przyzwyczailiśmy się do zmiennej aury opolskiej.

Pierwszy koncert pt. „Popołudniowy relaks" jest rzeczywistym odpoczynkiem. Znowu big-band „Pagartu" z Leszkiem Bogdanowiczem. Alina Janowska zachwyca „Balladą o Chmielnej" Abramowa i Osieckiej. Bogdana Zagórska śpiewa nastrojową i bardzo trudną aktorsko „Balladę o wiatrakach" Miliana i Urbanowicza. Andrzej Żarnecki prezentuje satyrycznego walczyka Pałłasza i Osieckiej „Jak na Paryż". Śpiewa „nasza", rzeszowska Mirosława Kubasińska całkiem dobrą „Piosenkę o zmierzchu" i „Być taką raz" Święcickiego i Dzikowskiej. Pani Mirosława zrobiła w okresie od ubiegłego festiwalu postępy, jest bardziej dramatyczna, ciekawsza.

Jadwiga Swirtun parodiuje Demarczyk i jej „Madonny", „Urodę" Warskiej i „Spójrz prosto w oczy" Villas.

Skrzynecki uspokaja rozentuzjazmowaną publiczność: „Proszę państwa, do końca festiwalu będzie jeszcze wiele parodii!".

— I rzeczywiście, zgadł!

„Mikrofon i ekran" — koncert galowy transmituje Interwizja, Telewizja i Radio. Koncert jest bardzo dyskusyjny.

Po raz pierwszy w „Opolu 65" występuje Orkiestra Jazzowa PR pod dyrekcją Andrzeja Kurylewicza i Orkiestra PR pod batutą Stefana Rachonia. Jako ostatnia z solistów śpiewa Anna German utwór Katarzyny Gaertner, laureatki II Festiwalu Opolskiego — „Zakwitłam różą". Piosenka zdobywa I nagrodę w kategorii artystycznej.

I znów wędrówka tonącymi w girlandach świateł ulicami śródmieścia lub pasażem nad „Młynówką" do szkoły muzycznej na nocny koncert. Pod „Pająkiem" non stop. Telewizja kręci film dokumentalny...

Fot. J. LIGĘZA

FINAŁ

Niedziela, 20 czerwca

W Klubie Międzynarodowej Książki i Prasy gorąca dyskusja wokół nagród „śpiewającej kaczki". Drogą głosowania nagrodę w wysokości 10 tys. złotych, fundowaną przez Towarzystwo Przyjaciół Opola i Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, przyznawaną przez akredytowanych dziennikarzy polskich (są też przedstawiciele prasy Czechosłowacji, Finlandii, Szwecji, Włoch, NRD i ZSRR) otrzymuje wreszcie piosenka Kofty i Pietrzaka „Pamiętajcie o ogrodach", a indywidualną Andrzej Bychowski. Uff!

O 13.30 spotkanie pożegnalne z władzami miasta w pięknym ratuszu. I tu miła niespodzianka. Inicjatorzy festiwalu poeci Edward Fiszer, Jerzy Grygolunas i muzyk Mateusz Święcicki otrzymują z rąk przewodniczącego Prezydium MRN Henryka Tabora medale pamiątkowe za zasługi dla miasta.

Na koncert „Kto chce niech śpiewa" czyli mikrofon dla wszystkich nie dążymy.

O 20.30 — finał! Potężny tasiemiec piosenkarski! Przeładowany program. Koncert trwa bite 4 godziny.

— Ale to już państwo znacie z radia itd.

Zresztą „czytanie o muzyce, to poznawać z opery wyłącznie libretto" — twierdzi w „Przekroju" Salami Kożerski...

* * *

Oficjalne wyniki festiwalowego konkursu są powszechnie znane. Kilkanaście nagrodzonych piosenek, wyróżnieni wykonawcy, po raz pierwszy nagrody za aranżację piosenek. Repertuaru wystarczy na rok na pewno! Niejedną z tych niezauważonych piosenek polubimy, chociaż typowego szlagieru brak. Ale te na festiwalach rzadko się rodzą.

Moim zamiarem było przekazanie tylko nastroju Opola, garści festiwalowych wrażeń, migawek zza kulis, z amfiteatru, z festiwalowej codzienności, z Opola, o którym się mówi, że jest jedynym miastem, umiejącym zorganizować prawdziwy F e s t i w a l. Jeżeli to mi się udało — niemała będzie radość moja.

MARIA CECYLIA GUZIOŁEK

DANIE

— Szkoda, że w domu skończyła mi się właśnie herbata — powiedziała.

— Chłopiec doznał uczucia podobnego do tego, jakie owładnęło nim, gdy spostrzegł był leżącą pod słupkiem chusteczkę. Zaczął się zastanawiać, czy sytuacja, w której się w tej chwili znalazł, jest, jak tam na przystanku, dziełem zwykłego przypadku, czy też dziewczyna świadomie mu ją ułatwia. Doszedł do wniosku, że nie należy teraz marnować czasu na rozmyślania. Bez słowa wyjaśnienia pozostawił dziewczynę na chodniku i wbiegł do sklepu, obok którego właśnie przechodzili. W sklepie nie było ani jednego klienta i po kilku minutach chłopiec znajdował się z powrotem na ulicy.

— Proszę — powiedział wręczając dziewczynie paczuszkę herbaty. Palce dziewczyny machinalnie zacisnęły się na kolorowej paczuszce, lecz nie od razu pojęła o co mu chodzi. Chłopiec drżał z emocji. Wiedział, że zaraz rozstrzygnie się, w jaki sposób spędzi czas pozostałych dwu godzin.

— Nie — powiedziała dziewczyna — nie mogę. Pan mnie źle zrozumiał... to jest... ja źle powiedziałam...

— Dlaczego? — wypadło to chrypliwie i chłopiec przełknął ślinę, ażeby zwilżyć gardło — rodzice?

— Nie. Mieszkam sama.

— Więc? Boi się pani, że ją okradnę? — roześmiał się, ale czuł, że nie brzmi to czysto.

„Cholera, chyba jednak wziąłem za szybkie tempo — pomyślał — ale trudno, mam ograniczony czas działania i muszę być rewolucyjny".

— Nie, nie boję się, że mnie pan okradnie. Zresztą nawet nie bardzo byłoby z czego.

Stała z na wpół wyciągniętą ku niemu ręką, w której trzymała paczuszkę herbaty i patrzyła w ziemię.

— Wie pani co? — powiedział sięgając do kieszeni marynarki — niech o wszystkim zadecyduje los.

W jego palcach pojawił się metalowy krążek dziesięciozłotówki.

— Jeżeli wypadnie reszka, pójdziemy do pani na herbatę. W przeciwnym wypadku...

„Zgódź się — błagał ją w myśli — zgódź się".

— Niech pan rzuca — powiedziała.

Chłopiec rzucił w górę monetę. Dziesięciozłotówka zakreśliła brązowy łuk i pacnęła o asfalt.

— Reszka — powiedział zdławionym głosem i schylił się po pieniądz — czy to daleko?

— Nie.

Odwróciła się i zaczęła iść w górę ulicy. Chłopiec zerknął na zegarek i ruszył za nią. Ale po kilku zaledwie krokach dziewczyna zatrzymała się.

— Wstydziłam się o tym panu powiedzieć... ale teraz muszę to zrobić. Otóż ja mieszkam... w suterenie.

Chłopiec odetchnął z ulgą. Już myślał, że dziewczyna zdecydowała się na złamanie ich umowy.

— Ja podczas studiów przez trzy lata mieszkałem w suterenie — skłamał — czy to takie ważne, gdzie się mieszka?

— Wkrótce mam otrzymać nowe mieszkanie, z nowego budownictwa. Będzie tam kuchnia i łazienka. Obiecali, że jeszcze w tym roku. A to, w którym teraz mieszkam, to... już tutaj.

— Te okna? — wskazał na dwa małe zakratowane okienka, niewiele większe od okien piwnicy.

— Tak.

Zbiegła w dół skręconymi w podkowę schodami i uśmiechnęła się do niego, ale jakoś inaczej, aniżeli robiła to dotąd. Chłopiec zszedł za nią i przekroczył próg korytarza piwnicy. Otoczyła go nieprzenikniona ciemność. Szedł suwając nogami po betonie piwnicy, ażeby się o coś nie potknąć, i z całych sił wytężał oczy. Nic jednak nie widział.

— Nie boisz się? — jej śmiech, dudniący i suchy dobiegł do niego z drugiego końca korytarza i chłopiec poczuł, jak ogarnia go strach.

— Gdzie jesteś — krzyknął.

— Tutaj, idź zupełnie prosto.

Usłyszał zatrzaskujące się za plecami drzwi i poczuł, jak przez jego ciało przebiega ponowny dreszcz strachu. Niejednokrotnie słyszał o prostytutkach, które do takich właśnie suteren zwabiały amatorów erotycznej przygody i o alfonsach dokonujących następnie rabunku. Dopiero teraz uświadomił sobie, że dziewczyna wcale nie okazała zdziwienia, gdy podawał jej znalezioną na przystanku chusteczkę, że rzuciła ją na ziemię po to, ażeby on ją podniósł. Wiedział, że przyzwyczajone do mroku oczy przeciwników widzą go jak na dłoni, czuł swoją zupełną bezsilność i napełniało go to wściekłością. Wykonał półobrót i zaczął bokiem przesuwać się ku drzwiom. Oczekiwał na cios, na poprzedzający go odgłos, ale otaczała go zupełna cisza. Nagle poczuł, że coś dotyka jego prawego ramienia i równocześnie ujrzał strugę padającego z boku światła.

— Gdzie jesteś? — powiedziała dziewczyna.

(Ciąg dalszy na str. 4)

W domu przy ulicy Tetmajera...

W maju br. otwarte zostało w Zakopanem w domu przy ulicy Tetmajera 5 skromne muzeum poświęcone pamięci zmarłego przed przeszło 10 laty popularnego pisarza — Kornela Makuszyńskiego.

Zwiedzamy mieszkanie — muzeum. Tutaj przez 20 lat — od 1934 r. do 1954 r. mieszkał i pracował Kornel Makuszyński. Na ścianach niewielkiego, zakopiańskiego mieszkania pisarza dzieła sztuki — obrazy pędzla Stanisława Wyspiańskiego, Juliana Fałata, Włodzimierza Tetmajera, Stanisława Witkiewicza, Zofii Stryjeńskiej i wielu innych znakomitych mistrzów, przyjaciół pisarza, a wśród nich Wachtla, który jest twórcą portretu Makuszyńskiego.

W pełnej książek szafie biblioteczne — 35 rękopisów dzieł Makuszyńskiego oraz 18 tomów jego felietonów.

Wśród bezcennych dzieł sztuki i pamiątek, które zgromadził pisarz — wiele setek listów od sławnych pisarzy, artystów, naukowców i polityków.

Z listów tych — cennego i bogatego źródła wiedzy dla historyków naszej kultury — wyłania się mało znana szerokiemu ogółowi sylwetka Kornela Makuszyńskiego — przyjaciela, opiekuna, zawsze spieszącego z radą i pomocą.

Spór wokół „Namiestnika"

Znana sztuka niemieckiego dramaturga Rolfa Hochhutha, piętnująca pronazistowskie stanowisko Piusa XII w okresie ostatniej wojny, cieszy się wyjątkowym i coraz większym powodzeniem. Związana jest ona nie tyle z jej walorami artystycznymi, ile z poruszaną tematyką. Napisanie sztuki poprzedziły kilkuletnie badania, autor bowiem zbierał materiały i dokumenty w licznych archiwach.

Przeciwko Hochhuthowi rozpętano na łamach prasy NRF nieprawdopodobną, wrzaskliwą nagonkę. Zaatakował go m. in. były sekretarz Piusa XII, niemiecki jezuita Leiber.

W obronie Piusa XII, co nikogo nie dziwiło, wystąpił również ewangelicki biskup Berlina Otto Dibelius, który niejedno ma na sumieniu.

W marcu 1963 r. Dibelius zamieścił artykuł na łamach berlińskiego czasopisma ewangelickiego „Die Kirche", w którym stwierdza, że sztuka Rolfa Hochhutha nie jest pożyteczna ani dla narodu niemieckiego, ani dla świata, który ciągle jeszcze ponosi cierpienia związane z niedawną przeszłością. „Jest rzeczą tanią i w najwyższym stopniu naiwną — pisze Dibelius — kiedy w pięć lat po śmierci papieża pokazuje się go palcem, twierdząc, że papież — sam — był winien śmierci milionów Żydów".

O winie Piusa XII — wbrew temu co sądzi Dibelius — pisać nie tylko można, lecz trzeba. Pius XII ponosi współodpowiedzialność za to, co stało się w czasie II wojny światowej, wspierał bowiem faszyzm i rozwijał krucjatę antykomunistyczną, wykorzystał religię i autorytet Kościoła w celu wzmocnienia skrajnej prawicy politycznej. Skutki tej działalności — jak wiemy — były opłakane. Tendencje pacelliańskie są po dziś dzień żywe w Kościele; tym bardziej trzeba pisać obecnie o winie Piusa XII, ku przestrodze tym ludziom, którzy chcieliby jego linię kontynuować.

Sztuka Hochhutha wywołała duże zainteresowanie w austriackich kołach katolickich. Podjęto tam zorganizowaną akcję obrony Piusa XII, do której wciągnięto czołowych działaczy katolickich. W kwietniu 1963 r. wiedeński dziennik „Kurier" przeprowadził z nimi szereg wywiadów.

Z repliką przeciwko głosom rehabilitującym Piusa XII wystąpił dr Mąssicek, przewodniczący „Wspólnoty Socjalistycznej Katolików", związanej z Socjaldemokratyczną Partią Austrii. Akcentuje on „głęboko chrześcijańską koncepcję autora „Namiestnika" i sądzi, że w ramach tej koncepcji Hochhuth miał prawo wydać wyrok na najwyższy autorytet chrześcijaństwa, który dyplomatycznie milczał, zamiast działać po chrześcijańsku i po ludzku. Massicek zwrócił też uwagę na fakt, że Hochhuth jest protestantem, co oczywiście nie pomniejsza jego intencji.

Do obrony Piusa XII nie dał się wciągnąć wybitny katolicki historyk austriacki F. Heer, który stwierdził: „Na wielu tysiącach stron obejmujących encykliki, przemowy i wypowziedzi radiowe Piusa XII, nie ma wzmianki o wymordowanych Żydach. Pius XII uważa za ważniejsze nie „ugodzić Hitlera w plecy" środkami dyplomatycznymi, ponieważ w Wehrmachcie widział silny bastion przeciw bolszewizmowi. Mamy przed sobą straszny upadek Rzymu w latach 1933—1945".

Tymczasem sztuka cieszyła się coraz większym powodzeniem i w ciągu jednego roku od berlińskiej prapremiery obiegła wiele scen światowych.

W miarę zwiększającego się powodzenia sztuki Hochhutha, klerykalna prasa prawicowa — nie tylko w NRF i w Austrii — lecz na całym świecie, przystąpiła do ofensywy przeciwko autorowi „Namiestnika". Akcja ta napotkała jednak przeciwdziałania. Np. londyński „Sunday Times" przestrzegał przeciwników sztuki, aby unikali przesadnej emocji i namiętności, bowiem „Hochhuth ma całkowite prawo, jeśli tego pragnie, a tak wyraźnie jest, do potępienia odmowy zmarłego papieża napiętnowania w jasny sposób prześladowania Żydów przez Hitlera. Najbardziej oddani katolicyzmowi historycy nie unikali sami krytykowania politycznej działalności papieży".

Poparcie dla sztuki Hochhutha wyrażone zostało również w programie telewizyjnym BBC. Podkreślono tam wyraźnie, że papież „powinien był dokonać wyboru przeciwko hitleryzmowi, tak jak obecnie ludzkość powinna dokonać wyboru przeciwko wszelkim odmianom i odcieniom rasizmu".

Najwięcej polemik sztuka Hochhutha wywołała we Włoszech. W szczególności Watykan wywierał nacisk na rząd włoski, aby przeciwko krytykom Piusa XII użył środków administracyjnych. Stosowane były różne metody presji, w rezultacie których włoskie ministerstwo spraw zagranicznych ogłosiło w dniu 25 maja 1964 r. oficjalny komunikat w obronie Piusa XII podpisany przez ówczesnego ministra spraw zagranicznych, socjaldemokratę Giuseppe Saragata, przywódcę partii laickiej; wywołało to krytykę lewicowych sił społecznych we Włoszech.

Półoficjalny organ watykański „Osservatore Romano" skwapliwie zamieścił komunikat na pierwszej stronie.

Już na drugi dzień po ogłoszeniu komunikatu dziennik „Unita", określając dokument włoskiego MSZ jako „niesłychany" pisze, że podobny dokument z powodzeniem mógłby być zredagowany przez watykański Sekretariat Stanu. Jak się okazało komunikat został napisany przez Saragata osobiście. W ten sposób sojusz włoskiej prawicy socjaldemokratycznej ze skrajnie reakcyjnymi kołami watykańskimi objawił się z całą oczywistością. „Unita" protestuje przeciwko publikowaniu w imieniu rządu oświadczeń wyrażających ocenę osobistości, które były powiązane z Piusem XII i starają się go rehabilitować, nie bacząc na wymowę hitlerowskich obozów zagłady oraz dowody przedstawione przez wybitne osobistości świeckie i duchowne w całej Europie.

Krytykę komunikatu podjął również organ Włoskiej Partii Socjalistycznej „Avanti", co było charakterystyczne chociażby z tego względu, że przedstawiciele partii socjalistycznej zasiadali w rządzie wespół z chadekami i Saragatem.

Po upływie kilku miesięcy „Namiestnik" stał się przyczyną poważnego kryzysu politycznego we Włoszech. Wszystko zaczęło się od starań, jakie podjęli najwybitniejsi przedstawiciele teatru włoskiego, aby sztukę wystawić w Italii, a przede wszystkim w Rzymie. Zarówno Watykan, jak i władze włoskie nie ukrywały, iż w żadnym razie nie dopuszczą do wystawienia sztuki. Jak wiadomo, policja nie pozwoliła na jej wystawienie nawet na przedstawieniu zamkniętym, dla zaproszonych osób ze świata kultury. Wywołało to bardzo ostre kontrowersje.

M. in. w senacie włoskim znany pisarz, senator Carlo Levi, zakwestionował prawo rządu do dowolnej interpretacji konkordatu i do naruszania konstytucji, pod pretekstem przestrzegania konkordatu.

W swym przemówieniu oświadczył on ponadto:

„Nie jest to miejsce dla przeprowadzania krytyki literackiej lub wydawania opinii o książce Hochhutha, tym chrześcijańskim dramacie czy jakiejkolwiek innej książce... Sztuka młodego pisarza niemieckiego konfrontuje zagadnienia dzisiejszego życia, przypomina obozy śmierci i potworne przeżycia tych tragicznych lat; takie przypomnienie jest po prostu obowiązkiem każdego człowieka. Kto, podobnie jak tyle ludzi w Niemczech zachodnich, nie chce już poruszać tych problemów — ponosi za taką postawę poważną odpowiedzialność".

Fala protestów przeciwko zakazowi inscenizacji „Namiestnika" ogarnęła całe Włochy. Protestowały zrzeszenia aktorów, towarzystwa autorów filmowych, znani publicyści i pisarze, stowarzyszenia b. partyzantów i b. więźniowie obozów koncentracyjnych. W rezultacie zespołowi „Teatro Scelta" zezwolono na inscenizację „Namiestnika" w miastach włoskich, poza Rzymem. Tak rzecz wyglądała w teorii, w praktyce bowiem w szeregu miejscowości burmistrzowie-chadecy, powołując się na uchwały rad miejskich zabraniali wystawienia sztuki. „Teatro Scelta" krążył jednak po Italii, wzmagając wszędzie aktywność sił demokratycznych przeciwko mafiom klerykalnym. Wielkim sukcesem teatru było m. in. wystawienie sztuki — po pokonaniu wielu przeszkód — we Florencji w dniu 25 lutego 1965 roku.

SM

KRZYSZTOF BUKAŁA — artysta rzeźbiarz

Rys. JERZY SIENKIEWICZ

zdarzenia tygodnia

Występem w Sanoku rozpoczął w ub. wtorek turnee po województwie rzeszowskim Zespół Pieśni i Tańca KBW.

Na program tego znakomitego zespołu składają się pieśni żołnierskie, piosenki i tańce, którymi podobnie jak w całym kraju wojskowi podbiją serca rzeszowskich słuchaczy.

* * *

29 ubm. wyjechał do Koszalina na III Ogólnopolski Festiwal Amatorskich Teatrów Poezji młodzieżowy teatr słowa, działający przy Zakładach Metalowych w Nowej Dębie.

Młodzi miłośnicy słowa z Nowej Deby zaprezentują w Koszalinie program wg Tadeusza Różewicza pt. „Człowieka trzeba kochać".

* * *

26 ubm. w Dukli chór i orkiestra tamtejszej Gminnej Spółdzielni „SCh" wykonały po raz pierwszy przygotowane fragmenty z „Krakowiaków i górali" W. Bogusławskiego.

* * *

W rzeszowskim Muzeum Okręgowym czynna jest wystawa starodruków polskich, będących w posiadaniu biblioteki tej placówki. Na ekspozycję składają się książki w języku polskim, drukowane przeważnie w Polsce w XVI i XVIII w.

* * *

30 ubm. w WDK odbyła się zwołana przez Wydz. Kultury Prez. WRN narada kierowników wydziałów kultury PRN i organizacji współpracujących w działalności kulturalno-oświatowej.

Podczas spotkania omówiono zadania w roku kulturalno-oświatowym 1965-66.

* * *

Dział instrukcyjno-metodyczny WDK zorganizował ostatnio seminarium muzyczne dla zaawansowanych instruktorów muzyki i konsultantów.

Podczas zajęć omówiono z uczestnikami zasady dyrygowania, instrumentacji, harmonię i formy muzyczne.

* * *

W Olsztynie przebywała 30-osobowa grupa działaczy kulturalno-oświatowych z woj. rzeszowskiego (pracownicy WDK i PDK).

Celem 5-dniowego pobytu w województwie olsztyńskim jest wymiana doświadczeń z pracy kulturalno-oświatowej oraz zwiedzenie placówek kulturalno-oświatowych woj. olsztyńskiego.

W jesieni podobna grupa z Olsztyna przyjedzie do naszego województwa.

Kino przyszłości

Interesujące rozważania o tym, jak wyglądać będzie kino w niezbyt odległej przyszłości, znajdujemy w niemieckim piśmie „Film Technikum".

Autor stwierdza, że rozwój techniki projekcji pójdzie w kierunku uzyskania w kinie większej plastyki obrazu, a tym samym zwiększenia efektu „współuczestniczenia" widza w akcji filmu. Przewiduje się, że już w okresie najbliższych lat zasadniczym zmianom ulegnie kształt i proporcja ekranu. Ekran będzie zajmował znaczną część pola widzenia nie tylko w płaszczyźnie poziomej — jak obecnie — ale również pionowej i kształtem swym przypominać wycinek półkolistej czaszy. Powierzchnia ekranu oraz jego położenie wobec widza będą odpowiadały naturalnemu polu widzenia.

IDIOTKA

(Ciąg dalszy ze str. 3)

Stała w otwartych drzwiach swego pokoiku i chłopiec zorientował się, że oprócz nich, nie ma nikogo w korytarzu piwnicy, i że dotyka ramieniem występu muru.

— Zabłądziłem — powiedział.

Wszedł za dziewczyną do pokoju i zamknął drzwi na klucz. Podszedł do miednicy, ażeby opłukać rozpaloną twarz i dopiero teraz poczuł, że koszula na plecach i piersiach klei mu się do skóry.

— Może zagrzać ci wody do mycia?

— Nie — powiedział — dziękuję.

Kątem oka widział, jak dziewczyna zbiera spiesznie z oparcia łóżka i krzesła części swej bielizny i jak stara się to wszystko wepchnąć niepostrzeżenie pod materac. Wytarł ręce o spodnie i rozejrzał się wokoło. Pokoik był niewielki i oprócz łóżka, krzesła i taboretu nie było w nim żadnych mebli. W kącie, na cegle stała elektryczna kuchenka, a obok niej wiadro z wodą i czajnik.

„Cholera jasna — pomyślał — na tej maszynce, to się nawet za godzinę nie zagotuje".

Dziewczyna włączyła kuchenkę i postawiła na niej napełniony wodą czajnik. Kiedy się odwróciła, chłopiec wyszarpnął sznur z kontaktu i wziął dziewczynę na ręce. Krzyknęła.

— Chciałem się przekonać, czy potrafię cię podnieść — powiedział.

— Puść mnie.

Ujrzała leżący na podłodze sznur i zaczęła się gwałtownie wyrywać.

— Dlaczego wyłączyłeś maszynkę?

— Nie chce mi się już pić.

Przycisnął ją mocniej do siebie i podszedł do łóżka.

— Dlaczego jesteś taki, nie wiedziałam, że jesteś taki.

— Jaki? Nie podobam ci się?

Rzucił ją na łóżko i zaczął zdejmować buty.

— Puść mnie — powiedziała.

— Już cię przecież puściłem.

— Mówiłeś, że chce ci się pić.

— Ale teraz już mi się nie chce. To znaczy, nie chce mi się już pić.

Objął dziewczynę za szyję i spróbował ją pocałować, ale odwróciła głowę do ściany. Przez jakiś czas leżeli tak bez ruchu i bez słowa, wreszcie chłopiec powiedział:

— Przyjadę kiedyś tu specjalnie do ciebie, chcesz?

— Przyjedziesz?

— Na pewno.

„Przyjadę wczoraj — zaśmiał się w duchu — na herbatkę".

Odwróciła się od ściany i leżała teraz na wznak.

— Pójdziemy do kina, a jak będzie ładnie, to nad rzekę, a wieczorem może na dansing?

— Tak, oczywiście wieczorem pójdziemy na dansing — powiedział.

— Może już wtedy będę miała nowe mieszkanie. I tak jak dzisiaj, wyjdę po ciebie na przystanek.

— Przecież dwie godziny temu jeszcze mnie nie znałaś.

— A jednak wiedziałam, że przyjedziesz.

— Więc ty po mnie wychodziłaś?

— Tak. Teraz wiem to już na pewno.

„Przecież to prawdziwa idiotka" — pomyślał.

— Przyjadę, może nawet jeszcze w tym miesiącu. A ty wyjdziesz po mnie na przystanek.

Uniósł się i pochylił nad jej ustami. Nie odwróciła głowy. Zanurzył palce w długich włosach dziewczyny, potem delikatnie zaczął gładzić jej ramię, lecz zaledwie dotknął kolan, natychmiast poczuł oplatające rękę palce dziewczyny.

— Proszę cię weź rękę — powiedziała.

„Czy po to przyprowadziłaś mnie do tej sutereny, ażeby mi pokazać jej odrapane ściany? I to krzywe krzesło, i łachy na oparciu łóżka?"

— No dobrze już, dobrze — powiedział i włożył ręce pod głowę, ale przedtem spojrzał jeszcze na zegarek i stwierdził, że ma przed sobą już tylko pół godziny czasu. Leżał na wznak i patrzył na popękany, cały w brudnych plamach sufit. Po chwili łóżko skrzypnęło i chłopiec poczuł na swej piersi głowę dziewczyny.

— Gniewasz się na mnie? — powiedziała.

Gwałtownym ruchem odwrócił się ku niej.

— Nie! — krzyknęła.

Ujrzał łzy w jej oczach i rozluźnił uścisk. Przez chwilę patrzył na jej wykrzywioną w grymasie płaczu twarz, po czym usiadł i wzuł buty.

— No doobra, nie masz już czego płakać — powiedział.

„Za piętnaście minut muszę być w biurze" — pomyślał.

Spojrzał na dziewczynę. Głowę miała odwróconą do ściany, oczy zakryte ręką. Podwinięta sukienka odsłaniała niemal zupełnie jej uda, ale ona o tym nie wiedziała.

Chłopiec podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku. — Muszę już iść — powiedział.

Nie odpowiedziała nic. Chłopiec stał jeszcze przez chwilę w uchylonych drzwiach, ażeby przyzwyczaić oczy do mroku korytarza i przyszło mu do głowy, że dziewczyna na pewno myśli, iż on robi to dlatego, ażeby ona go zawołała. Zaczął się zastanawiać, czy zawróciłby, gdyby to zrobiła, ale dziewczyna nie powiedziała nic, więc pchnął drzwi i wyszedł na korytarz.

„Nawet nie wiem, jak ma na imię — pomyślał — zupełnie zapomniałem o to spytać".

Do biura przyszedł w samą porę. Załatwienie sprawy nie zabrało mu wiele czasu i kiedy po godzinie znajdował się w autobusie, który właśnie miał odjechać, ujrzał biegnącą do przystanku dziewczynę. Chciał się cofnąć od szyby, przy której stał, lecz zanim to uczynił, napotkał wzrok dziewczyny. Zatrzymała się tuż przed szybą tylnego pomostu, za którą znajdował się chłopiec i podniosła w górę chusteczkę. Chłopiec odwrócił się i zaczął się przepychać na przedni pomost, wreszcie zatrzymał się przed jego oszkloną ścianą skulony i jakby nagle mniejszy.

Autobus zatrząsł się i ruszył. Dziewczyna bez przerwy machała chusteczką i wyglądało to, jakby omiatała z kurzu karoserię autobusu.

*

Opowiadanie z tomu, który ukaże się wkrótce nakładem Wyd. „Iskry" pod tytułem „UPAŁ".

BOGDAN LOEBL

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2056, 2057 — wewn. 188. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.